

PRZEDMOWA I

Prof. dr med. Etienne de Harven:
Lektura obowiązkowa dla ludzi na całym świecie

Książka dziennikarza Torstena Engelbrechta i lekarza Clausa Köhnlaina *Wirusomania. Jak przemysł medyczny bezustannie wymyśla epidemie i czerpie z nich gigantyczne zyski* zawiera tragiczne przesłanie, które – miejmy nadzieję – przyczyni się do tego, że wartości etyczne zostaną przywrócone zarówno w wirusologii, jak również w polityce zdrowotnej, komunikacji medialnej oraz działalności koncernów farmaceutycznych (Big Pharma) – a zatem w tych obszarach, w których od wielu lat w coraz większym zakresie nie przestrzega się elementarnych zasad etycznych. Kiedy w 2006 roku „Harper’s Magazine” opublikował artykuł *Poza kontrolą – AIDS i korupcja w naukach medycznych*, autorstwa amerykańskiej dziennikarki Celi Farber, niektórzy czytelnicy starali się złagodzić jego wymowę, twierdząc, że opisywana „korupcja” to jedynie pojedyncze przypadki. Jednak opinie tego typu są bardzo dalekie od prawdy – i to właśnie jest znakomicie udokumentowane w *Wirusomanii*.

Fakty przedstawione przez Celię Farber w „Harper’s Magazine” stanowią w rzeczywistości wierzchołek góry lodowej. Korupcja badań naukowych stanowi szeroko rozpowszechnione zjawisko w wielu działach medycyny, zajmujących się rzekomo zakaźnymi chorobami, czy to będzie AIDS, zapalenie wątroby typu C i gąbczasta encefalopatia bydła (BSE, czyli „choroba szalonych krów”), czy też SARS lub ptasia grypa. Przy okazji tych pięciu chorób będących przedmiotem państwowej polityki zdrowotnej, badania nad wirusami czy też, jak w przypadku BSE, prionami, zeszły na manowce – i wszędzie można zaobserwować zasadniczo identyczny systemowy sposób działania, na który zawsze składają się następujące po sobie kluczowe posunięcia: najpierw ogłasza się, że istnieje ryzyko straszliwej katastrofy, przedstawia je publiczności jako *horror story*, następnie wskazuje się winnego w postaci trudno uchwytnej zarazki, ignorując wszystkie inne możliwe wyjaśnienia i manipulując jednocześnie epidemiologią

poprzez dostarczanie niemożliwych do zweryfikowania danych, aby ostatecznie wytworzyć fałszywe przekonanie o bezpośrednio grożącej katastrofie i narzucić je opinii publicznej jako prawdę. Na samym końcu pojawia się obietnica wyprodukowania szczepionki przynoszącej wybawienie. Wszystko to gwarantuje przede wszystkim jedno: obfite zyski dla koncernów farmaceutycznych i czołowych badaczy. Zapytać należy, jak w ogóle można było coś takiego osiągnąć? Odpowiedź jest prosta: posługując się najpotężniejszym narzędziem wpływania na ludzkie decyzje – strachem! Nie doświadczamy bowiem epidemii wirusowych, lecz przeżywamy epidemię strachu przed epidemią.

Zarówno media, jak i przemysł farmaceutyczny są w ogromnej mierze odpowiedzialne za wzbudzanie tych lęków, gwarantujących – tak jakoś się „przypadkowo” składa – stałe fantastyczne zyski. Naukowe hipotezy, pochodzące z obszarów badań wirusologicznych, w gruncie rzeczy nie opierają się bowiem na faktach, ustalonych i udowodnionych dzięki badaniom kliniczno-kontrolnym. Jest raczej tak, że wysuwa się pewne hipotezy, a następnie zatwierdza je na drodze „konsensusu”, czyli umowy między najpotężniejszymi podmiotami tej „naukowej” gry o miliardy. Z „konsensusu” bardzo szybko robi się dogmat, który media w quasi-religijny sposób bezustannie propagują i ostatecznie utrwalają „na zawsze”.

Dbą się także o to, aby wspierać i finansować wyłącznie te projekty badawcze, które podtrzymują dogmat, natomiast konsekwentnie wyklucza się badania, mogące potwierdzić alternatywne hipotezy. Ważnym instrumentem niedopuszczania do debaty poglądów odbiegających od obowiązującego dogmatu jest cenzura na różnych poziomach, w mediach, jak i w publikacjach naukowych.

Niewiele nauczyliśmy się na podstawie doświadczeń przeszłości. Nadal wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi, na przykład gdy chodzi o przyczyny epidemii tzw. hiszpańskiej grypy w 1918 roku lub o rolę wirusów w epidemii polio po II wojnie światowej (na przykład, czy przy polio decydującą rolę odegrały neurotoksyny takie jak DDT?). Te epidemie czasów nowoczesnych powinny otworzyć nasze umysły na bardziej krytyczne analizy. Pod koniec XIX wieku Ludwik Pasteur i Robert Koch zaproponowali nowe rozumienie infekcji, takie które można zastosować do różnych chorób zakaźnych mających związek z bakteriami. Stało się to jednak na długo przed odkryciem pierwszych wirusów. Wprawdzie wielce kuszące było po prostu przeniesienie definicji infekcji bakteryjnej na wirusy, ale, jak dowodzi ta książka, jest to niedopuszczalne nawet w rozumieniu panującej naukowej or-

todoksji – i pod żadnym pozorem nie powinno się zdarzyć. A skoro już tak postąpiono, to równolegle należało poświęcić tyle samo uwagi niezliczonym innym czynnikom ryzyka występujących w środowisku zatrutym przez człowieka, a więc toksyczności medykamentów i leków, złemu odżywianiu się lub niedożywieniu. Z podobnymi trudnościami musiała i musi zmagać się także onkologia. Hipotezę, że wirusy mogą wywoływać raka, wysunięto po raz pierwszy w 1903 roku, czyli ponad sto lat temu, jednakże do dziś hipotezy tej nie udało się przekonywująco udowodnić.

Większość eksperymentów laboratoryjnych, które wykonali łowcy wirusów, przeprowadzono na myszach, z których większość była owocem chowu wsobnego. Zatem ich podłoże genetyczne, co zrozumiałe, było całkowicie nienaturalne. Nasuwa się zatem pytanie, czy myszy rzeczywiście nadawały się na model powstawania raka u ludzi. My, ludzie, nie jesteśmy wszak produktem chowu wsobnego. Zapewne eksperymenty na myszach umożliwiły izolowanie i oczyszczenie tzw. wirusów RNA raka, później przemianowanych na „retrowirusy”, a w rezultacie pozwoliły dobrze je scharakteryzować za pomocą zdjęć zrobionych pod mikroskopem elektronowym. Jednakże zasadne jest pytanie: czy te wirusowe cząstki można przyporządkować wyłącznie mysim nowotworom i czy rzeczywiście to one są sprawcami powstawania nowotworów złośliwych?

Postawić także należy bardziej ogólne pytanie: czy w przypadku tych cząstek chodzi o – jak się twierdzi – egzogeniczne, czyli atakujące organizm z zewnątrz, zaraźliwe wirusy, czy też raczej o endogeniczne, zdefektowane wirusy ukryte w naszych chromosomach? Kwestie te wymagają dalszych dyskusji. Pewne jest natomiast to, że wirusowych cząstek, podobnych do tych, które znaleziono u myszy doświadczalnych chorych już na raka lub białaczkę, jeszcze nigdy nie wykryto i nie wyizolowano w ludzkich tkankach rakowych. Tymczasem, kiedy wszystko to stało się jasne w końcu lat sześćdziesiątych XX wieku, onkologia wirusologiczna zdążyła już osiągnąć dogmatyczny, można śmiało powiedzieć, quasi-religijny status. Przedstawiciele establishmentu badań nad rakiem stwierdzili po prostu: jeśli w ludzkich guzach nowotworowych nie można pod mikroskopem elektronowym zobaczyć wirusowych cząstek, to znaczy, że problem leży w mikroskopie, a nie – co powinno być logicznym wnioskiem – w dogmatach wirusowej onkologii! Był to czas, kiedy biologia molekularna zaczęła zyskiwać dominującą pozycję w wirusologii. Jednym ze skutków tej dominacji było wykoncypowanie tak zwanych markerów molekularnych, czy też

markerów zastępczych, które pozwalały twierdzić, że wirusy istnieją, nawet jeśli nikt nigdy nie potrafił dostrzec ich pod mikroskopem elektronowym. Markerem zastępczym, który umożliwił ortodoksji pójście w tym kierunku, to znaczy umożliwił odejście od konieczności przedstawienia dowodów w postaci wyizolowania wirusa, zdjęcia mikroskopem elektronowym i pełnej charakterystyki cząstki, był enzym odwrotna transkryptaza. Opisano go po raz pierwszy w 1970 roku. Łowcy wirusów pochopnie założyli, że ten enzym jest czymś absolutnie specyficznym dla retrowirusów. Stwierdzili, co następuje: jeśli w próbkach obserwujemy aktywność enzymu odwrotna transkryptaza, to możemy być pewni, że obecny jest retrowirus. Nawet zespół Franca Luca Montagniera wziął na początku lat osiemdziesiątych tę tezę za punkt wyjścia przy pracach nad udowodnieniem występowania HIV w kulturach laboratoryjnych. Jednakże w tym momencie teza ta od dobrych dziesięciu lat była już nieaktualna, ponieważ na początku lat siedemdziesiątych nie tylko laureaci Nagrody Nobla, Howard M. Temin i David Baltimore, ale nawet najbliżsi współpracownicy Montagniera, doszli do definitywnego wniosku, że odwrotna transkryptaza nie jest czymś specyficznym dla retrowirusów, lecz występuje we wszystkich komórkach (zob. podrozdział rozdziału II: „Lata siedemdziesiąte XX wieku – wirusowa katastrofa” oraz podrozdział rozdziału III: „Testy na przeciwciała HIV, testy PCR na wykrycie masy”). Wszelako media bliżej się tą kwestią nie zajęły. Ponadto bardzo sówite finansowe wsparcie ze strony instytucji rządowych i naukowych oraz koncernów farmaceutycznych spowodowało, że głosów krytycznych nie wysłuchano. Skutek był taki, że centralny dogmat onkologii wirusologicznej, mianowicie, że raka wywołują wirusy, mógł utrzymać się aż do późnych lat siedemdziesiątych.

Na początku lat osiemdziesiątych błędy i niepowodzenia tego kierunku badań stały się tak zawstydzająco ewidentne, że zamknięcie laboratoriów, które skoncentrowały się na wirusowej onkologii, byłoby nieuchronne, gdyby nie... No, właśnie, gdyby nie co? Otóż badacze wirusów rzekomo wywołujących raka straciliby zajęcie, gdyby nie pewien lekarz z Los Angeles, który w 1981 roku opisał pięć przypadków mężczyzn cierpiących na ciężki niedobór odporności. Wszyscy ci mężczyźni byli homoseksualistami, regularnie wdychali gejowski narkotyk poppers (azotyny alkilu) i konsumowali inne narkotyki. Ponadto zażywali nadmierne ilości antybiotyków i źle się odżywiali oraz cierpieli na choroby przenoszone drogą płciową. Wszystkie te czynniki szkodzą ogromnie systemowi odpornościowemu. Stąd

też logiczny byłby wniosek, że mężczyźni ci mają tak osłabiony system odpornościowy, ponieważ ich organizm był poddany rozmaitym toksycznym wpływom, a to z kolei powinno nasunąć podejrzenie, że możliwą przyczyną stanu ich zdrowia, którą należy wziąć pod uwagę, jest ich styl życia.

Na nieszczęście dla nas wszystkich, w oczach reprezentantów najważniejszych sił społecznych i politycznych takie podejście nosiłoby znamiona dyskryminacji, dlatego było ze względów politycznych absolutnie nie do zaakceptowania. Aby wybrnąć z tej sytuacji po prostu wysunięto inną hipotezę: pacjenci cierpią na chorobę zakaźną wywoływaną przez nowego... retrowirusa! Jednakże twardych danych naukowych, które by ją potwierdziły, nie było i – co może u niektórych budzić zdumienie – ciągle nie ma. Najwidoczniej brak dowodów nikomu nie przeszkadza. Bieg wydarzeń zdeterminowały – natychmiast wyrażone i z pasją bronione – interesy badaczy „nowotworowych wirusów” oraz instytucji medycznych. Nowy wirus uratował przed zamknięciem laboratorium wirusologiczne, w których odtąd – niemal z dnia na dzień – głównym przedmiotem badań stał się AIDS. W konsekwencji powstały gigantyczne budżety badawcze – pieniądze popłynęły od koncernów farmaceutycznych, od instytucji federalnych, jak Centra Kontroli i Prewencji Chorób (Centers of Disease Control and Prevention, CDC) i Krajowych Instytutów Zdrowia (National Institutes of Health, NIH). Nikt nie musiał się kłopotać działającym destrukcyjnie na organizm stylem życia pacjentów, uznanych za niewinne ofiary straszliwego wirusa, któremu wkrótce doczepiono etykietę „HIV”. Jednakże w ciągu czterdziestu lat oficjalnej nauce nie udało się przedstawić niezbitych dowodów na rzecz hipotezy, że HIV powoduje AIDS. I to pomimo tego, że sumy przeznaczone na badania nad AIDS były i są wręcz astronomiczne, a pieniądze płynęły i płyną tylko na te projekty badawcze, które z góry zakładają słuszność hipotezy „HIV=AIDS”.

Nigdy nie osiągnięto trzech najważniejszych celów: nie znaleziono kuracji dla chorych na AIDS, nie poczyniono dających się potwierdzić prognoz epidemiologicznych i nie wyprodukowano skutecznej szczepionki przeciwko HIV. Zamiast tego stosowano, najczęściej nieodpowiedzialnie, wysoce toksyczne medykamenty, których „skutkiem ubocznym” może być śmierć. Po dziś dzień nie zaobserwowano pod mikroskopem elektronowym ani jednej cząstki HIV we krwi pacjentów, którzy – jak twierdzono – mają w organizmie wysokie (!) „miano wirusa” (*viral load*). I co teraz? Wszystkie najważniejsze

gazety i kolorowe magazyny publikowały starannie dopracowane pod względem wizualnym, wygenerowane na komputerze kolorowe obrazy wirusa HIV, które – co należy podkreślić – pochodzą wyłącznie z laboratoryjnych kultur komórkowych, a nie od, choćby jednego, pacjenta zakwalifikowanego jako chory na AIDS. Mimo swoich niezliczonych wad i braków hipoteza „HIV=AIDS” nadal – niezagrożona – obowiązuje jako dogmat. I nadal dziesiątki tysięcy badaczy oraz setki potężnych firm farmaceutycznych ciągną z niej ogromne zyski. Fakty jednak są takie, że nie wyleczono ani jednego pacjenta zdiagnozowanego jako „chory na AIDS”.

Trzeba powiedzieć bez ogródek: HIV/AIDS jest symbolem skorumpowania wirusologii – i to właśnie udokumentowali autorzy tej książki w sposób godny najwyższej uwagi, ukazując cały tragizm sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Programy badawcze dotyczące zapalenia wątroby typu C, BSE, SARS, ptasiej grypy, jak i aktualne programy szczepień powstały wszystkie według tej samej logiki, którą określa jeden podstawowy cel: maksymalizacja finansowego zysku.

Kiedy staramy się dociec, jak to się dzieje, że najwyższe instancje systemu zdrowia publicznego (WHO, CDC, Instytut im. Roberta Kocha w Niemczech) zalecają wysoce wątpliwe terapie, zawsze znajdujemy albo wstydliwie skrywane konflikty interesów, albo brak niezbędnej, ponownej, kontroli eksperymentów. Do tego dochodzi dławienie otwartej debaty, czyli takiej, w której uczestniczą renomowani naukowcy, posługujący się odmienną argumentacją i reprezentujący odmienny punkt widzenia na procesy chorobowe. Manipulowanie statystykami, fałszowanie studiów klinicznych, zatajanie wyników testów stwierdzających toksyczność leków – wszystko to działo się na dużą skalę i zostało wielokrotnie ujawnione i udokumentowane. Jednocześnie wiele spraw pośpiesznie zatuszowano lub po prostu, jak gdyby nigdy nic, pomijano, dlatego do dziś nikt nie był w stanie przełamać cynicznej, nastawionej na zysk, biznesowej logiki, która panuje we współczesnej wirusologii. Na tym ciemnym tle pojawiają się jednak jasne punkty. Na przykład na najwyższe szczeble polityki amerykańskiej dostała się sprawa zatajenia, szkodzącej systemowi nerwowemu, toksyczności tiomersalu – dodawanej do szczepionek substancji konserwującej, w której obecna jest rtęć, i którą w związku z tym bierze się pod uwagę jako możliwą przyczynę autyzmu u zaszczepionych dzieci.

Wirusowa mania jest chorobą społeczną naszych wysoko rozwiniętych krajów. Aby się z niej uleczyć, konieczne jest pokonanie strachu, ponieważ strach to najbardziej śmiertelny, zaraźliwy wirus, najskuteczniej przenoszony drogą medialną.

Naukowcy, lekarze, dziennikarze powinni pamiętać, że *Errare humanum est sed diabolicum preservare* (Błądzić jest rzeczą ludzką, ale podtrzymywać błąd jest sprawą diabelską).

Etienne de Harven (1928-2019) – emerytowany profesor patologii na uniwersytecie w Toronto i członek Sloan Kettering Institute for Cancer Research w Nowym Jorku (1956-1981). Członek AIDS Advisory Panel przy prezydencie Południowej Afryki Thabo Mbekim, były prezes organizacji Rethinking AIDS (www.rethinkingaids.com).

PRZEDMOWA II

Dr med. Joachim Mutter:
Książka inicjująca proces
zmiany paradygmatu

Książka *Wirusomania* przedstawia w jasny i zrozumiały sposób wiele naukowych danych, które dowodzą, że większość epidemii (grypa, ptasia grypa, AIDS, BSE, zapalenie wątroby typu C), sprzedawanych przez media w formie przerażających doniesień, albo w ogóle nie istnieje, albo jest niegroźna. Przeciwnie: skutek paniki i trujących substancji zawartych w szczepionkach mogą rozwijać się lub przybierać cięższy przebieg liczne choroby, które ostatnimi czasy dotyczą coraz więcej ludzi: alergie, nowotwory, autyzm, zaburzenia koncentracji uwagi i zespół nadpobudliwości psychoruchowej (ADS, ADHS), choroby autoimmunologiczne i choroby systemu nerwowego. Autorom udało się wskazać prawdziwych winowajców chorób oraz beneficjentów tej gry i jednocześnie pokazać rozwiązania, które każdy może zastosować w codziennym życiu. Uważam *Wirusomanię* za jedną z najważniejszych poszerzających naszą wiedzę książek naszego czasu, która zapoczątkuje proces prostowania błędów i obalania dogmatów obowiązujących od ponad 150 lat.

Joachim Mutter – doktor medycyny, lekarz specjalista w dziedzinie higieny i medycyny środowiskowej. W latach 2001-2008 lekarz w Ośrodku Medycyny Naturalnej Kliniki Uniwersyteckiej we Fryburgu Bryzgowijskim pod kierownictwem prof. Franza Daschnera. Od 2004 do 2006 ekspert w Instytucie im. Roberta Kocha w zakresie „metod i gwarancji jakości w medycynie środowiskowej”.

WPROWADZENIE

SPOŁECZEŃSTWO POD NIEODPARTYM UROKIEM JEDNOWYMIAROWEJ ZARAZKOWEJ TEORII CHORÓB

Zaakceptowaliśmy liczne półprawdy i zaprzestaliśmy poszukiwać całych prawd. Najważniejszą półprawdą była ta, że badania medyczne wytepiły wielkich „zabójców” z przeszłości, czyli gruźlicę, dyfteryt, zapalenie płuc, gorączkę połogową. [...] Jednak dane na temat współczynnika zgonów w przypadku gruźlicy pokazują, że spadał on stale od połowy XIX wieku i przez następne sto lat [do 1970 roku] stale zmniejszał się niemal linearnie. Jedynie w czasach wojen lub w specyficznych, niesprzyjających warunkach lokalnych odnotowano jego wzrost. [...] Na ten ogólny spadek liczby zgonów na gruźlicę nie miały wymiernego wpływu: odkrycie zarazków gruźlicy, testy na gruźlicę, wprowadzenie szczepionki BCG, masowe badania profilaktyczne, intensywne kampanie przeciwgruźlicze, wynalezienie streptomycyny. [...] Podobne trendy w odniesieniu do współczynnika zgonów można zaobserwować, gdy chodzi o takie choroby jak błonica, gorączka reumatyczna, koklusz, odra, zapalenie płuc i wiele innych. [...] Jest rzeczą istotną, żeby ten aspekt rozumieć całościowo. Zwrócili na ten punkt uwagę przed laty Wade Hampton Frost, a niedawno René Dubos. W kolejnych latach wielokrotnie podkreślało to wielu obserwatorów zdrowia publicznego¹.

Edward H. Kass, profesor medycyny na Uniwersytecie Harvarda, członek-założyciel i pierwszy prezes amerykańskiego Towarzystwa Chorób Zakaźnych

*Sapere aude!*² „Miej odwagę posługiwać się własnym rozumem” – tak oto brzmi hasło oświecenia.

Immanuel Kant

W 1660 roku wraz z założeniem brytyjskiego towarzystwa naukowego The Royal Society rozstrzygnięto: liczy się naukowy dowód (*the experimental proof*), a nie bezpodstawne fantazje i ślepa wiara³. *Nullius in verba*⁴, co oznacza tyle co „Nie ufaj samym

słowom” – tak The Royal Society streściło żelazną zasadę badań naukowych. Było to wydarzenie o ogromnej doniosłości. Podnosząc do najwyższej rangi dowód naukowy, chciano ogłosić koniec epoki brutalnej arbitralności władzy, dla której było czymś zwyczajnym oskarżać „w imię Boga” kobiety o uprawianie czarów i palić żywcem na stosie albo niewolić całe ludy, jak Azteków czy Majów.

W dzisiejszych czasach, my ludzie uważający się za oświeconych, czujący się bezpiecznie pod kloszem naszej wysoko stechnicyzowanej cywilizacji naukowej, z politowaniem lub wstydem spoglądamy wstecz na te mroczne czasy drakońskiego nadużywania władzy. Bo też prawdą jest, że marzenie, którego spełnienie obiecywała nauka kierująca się zasadą dowodu, mianowicie uwolnienia ludzkości od niedostatku, ignorancji, przesądów, tyranii i, nie na ostatku, od fizycznych i duchowych cierpień, stało się rzeczywistością w wielu dziedzinach, przede wszystkim w krajach bogatych⁵. Samoloty, traktory, telefony komórkowe, komputery, endoprotezy, podobnie jak wymiar sprawiedliwości oparty na konieczności przedstawienia niezbitych dowodów winy – wszystkie te osiągnięcia mają swoje źródło w badaniach naukowych, które znają tylko jedną naczelną regułę: każde twierdzenie trzeba udowodnić.

Jednocześnie nasz entuzjazm dla nauki wzrósł w obliczu jej sukcesów tak bardzo, że badaczom i lekarzom, którzy jeszcze w starożytnym Rzymie mieli status niewolnika i aż do początku XX wieku byli w większości biedni i pędzili skromny żywot⁶, przyznano status półboski, postrzegając ich jako bezinteresownych poszukiwaczy prawdy⁷. Zjawisko to opisał już w drugiej połowie XIX wieku angielski biolog Thomas H. Huxley – wpływowy orędownik teorii Karola Darwina i dziadek pisarza Aldousa Huxleya (*Nowy wspaniały świat*, 1932) – porównując rosnący autorytet nauki z potęgą Kościoła. Huxley ukuł pojęcie „Kościół Nauki” (*Church Scientific*)⁸. Ta głęboka wiara oświeconych mieszkańców wysoko rozwiniętej cywilizacji we wszechmoc naukowców sprawiła, że przestali pytać o dowody potwierdzające określone hipotezy czy też w ogóle zastanawiać nad ich sensownością. Zamiast zadawać pytania, obywatele polegają na mediach, wierząc bezkrytycznie we wszelkiego rodzaju wypuszczane w świat, medialne sensacje jak na przykład te o zagrażających ludzkości wirusowych zarażach (korona/covid-19, świńska grypa, ptasia grypa, SARS, AIDS itd.).

Media, na czele z redaktorami działów nauki i dziennikarzami naukowymi, już od wielu dziesięcioleci starannie pielęgnują przyjacielskie stosunki z naukowcami. Dziennikarka naukowa „New York Timesa”, Natalie Angier tymi słowami skrytykowała swoją własną